

Andrzej Waśkiewicz

Przed obliczem Ludu Odpowiedź Pawłowi Marczewskiemu

Paweł Marczewski bardzo rzetelnie streścił pięć rozdziałów mojej książki, klarownie wyłożył też jej zasadniczą tezę¹. To akurat nie było trudne, ponieważ sam wyartykułowałem ją otwarcie. *Paradoksy idei reprezentacji politycznej*² nie są jednak książką, w której reprezentacja zostaje przeciwstawiona demokracji; są jedynie jej obroną i przestrożą przed pochopną krytyką, posuwającą się nawet do jej odrzucenia. Na wszelkie słabości demokracji reprezentacyjnej liczni teoretycy lokujący się już w głównym nurcie debaty proponują obecnie jedno rozwiązanie: więcej demokracji. Nie podzielam tego poglądu; moja odpowiedź brzmi: więcej władzy odpowiedzialnej. I choć od czasów greckich wiadomo, że władza demokratyczna nie musi być władzą odpowiedzialną, rzeczą nieodpowiedzialną byłoby proponować dziś władzę inną niż demokratyczna.

Władza odpowiedzialna potrzebuje odpowiedzialnej teorii, odpowiedzialna teoria musi natomiast wyjść z przesłanki, że władza we współczesnym społeczeństwie ma charakter reprezentacyjny, co – mówiąc wprost – znaczy tyle, że w demokracji nie rządzi żaden lud, tylko politycy, chociaż za jego przyzwoleniem. Inaczej niż sądził Joseph Schumpeter, nie uważam, by „odkrycie” to musiało prowadzić do cynizmu; każe ono jedynie spojrzeć na władzę z innej perspektywy. Podczas gdy przedmiotem teorii władzy demokratycznej są rządy ludu, teoria władzy reprezentacyjnej widzi w nich rządy nad ludem, ale też i przed ludem. Lud jest w niej tyleż mocodawcą władzy, co „audytorium” (trudno tu o lepszy termin), przed którym zachodzi akt reprezentacji. Teoria władzy reprezentacyjnej jest więc normatywną teorią jej sprawowania „przed obliczem Ludu”, który

¹ P. Marczewski, *Pierwszeństwo reprezentacji przed demokracją a obietnica polityki*, w niniejszym numerze pisma, s. 365-373.

² A. Waśkiewicz, *Paradoksy idei reprezentacji politycznej*, Wydawnictwo Scholar, Warszawa 2012.

zastąpił w tej funkcji Boga. „Przed obliczem” znaczy tu więcej niż „z woli”, bo ta dochodzi do głosu tylko w cyklicznych wyborach.

Kiedy w 2002 zainteresowałem się reprezentacją, literatura poświęcona tej idei była bardzo uboga, nieliczne były też prace o charakterze syntezy poświęcone instytucjom przedstawicielskim. W 2009 roku, gdy zacząłem pisać o niej książkę, był to już temat kilku ważnych publikacji, zarówno artykułów, jak i całych monografii, które ukazały się dosłownie 2-3 lata wcześniej. Szczęśliwie o nich nie wiedziałem; zwolniło mnie to z obowiązku ich omawiania i wikłania się w „dyskurs”, zwłaszcza że znalazłem w nich wiele własnych myśli. Ale też w większości tych prac, prezentujących zarówno modele, jak i ideały reprezentacji, sama logika przedstawicielstwa podporządkowana została aksjologii demokracji, czego akurat chciałem uniknąć.

Nie chodziło mi jednak o to, by zależność tę odwrócić, a jedynie przypomnieć funkcje, jakie pełni reprezentacja niezależnie od tego, kim jest reprezentant i kogo reprezentuje. Refleksja na ten temat lokuje się w samym centrum nowożytnego projektu politycznego, z którego wyrasta też demokracja. Rzec można, że relacja między reprezentacją a demokracją odpowiada tej, jaka zachodzi między Starym a Nowym Testamentem. Dlatego też przywołałem autorów „starotestamentowych”, którzy nie znali jeszcze Dobrej Nowiny demokracji i uważali reprezentację za zasadę dobrego rządu. W moim przekonaniu i dziś dobre i złe państwa demokratyczne różnią się właśnie tym, na ile rządzący reprezentują w nich rządzonych, przy całej złożoności tego terminu. Dobre demokracje to demokracje reprezentacyjne w mocnym sensie; lud jest nie tylko mocodawcą władzy, ale też audytorium, przed którym władza musi zdawać sprawę ze swych działań.

Zwyczajowo demokrację ocenia się według innych kryteriów. W latach 50. i 60. XX wieku, a więc w czasach zimnej wojny, która była jednocześnie gorącą wojną ideologiczną, demokracje właściwe to demokracje liberalne; jeśli miano demokracji przyznawano również „demokracjom ludowym”, to z określeniem „totalitarne” (rozdzielenie to było oczywiście mocno kontrowersyjne). W latach 80. i 90. liberalizm w oczach radykalnych demokratów był już dla demokracji *handicapem*; demokracje liberalne to tylko demokracje formalne, partyjne, elitarne itp. Kryterium oceny stała się wówczas aktywność obywatelska, tyle że – co podnosili rzecznicy demokratyzacji demokracji – w systemie reprezentacyjnym nie mogła być ona znacząca. Z pewnym uproszczeniem można powiedzieć, że w oczach krytyków „realnej demokracji”, dobra demokracja musiała być jak najbardziej bezpośrednia.

Rzeczywiście, nie jestem przekonany do tych projektów politycznych, które rozciągają republikański ideał aktywnego obywatelstwa poza mury

miasta na obszar całego państwa, a nawet Unii Europejskiej. Nie sądzę, by racjonalne zarządzanie wielonarodową wspólnotą mogło opierać się na czymś innym niż na ponadnarodowej biurokracji, w państwach członkowskich władza musi być już jednak bliżej rządzonych, a reprezentacja jest skróceniem tego dystansu. Radykalne teorie demokratyzacji chcą ten dystans znieść, bo widzą w nim jeśli nie samą alienację władzy, to przynajmniej jej źródło. Tymczasem to nie jest wcale oczywiste, ponieważ dystans między rządzącymi a rządzonymi można uważać wręcz za jeden z warunków funkcjonowania władzy odpowiedzialnej za dobro całej wspólnoty. Nawet jeśli nie godzi się tak myśleć szczeremu demokracji, to nie inaczej powinien uważać dzisiejszy republikanin, nawet demokratyczny.

We współczesnej teorii demokracji razi mnie jej jednostronność, brak docieklivosti, a przede wszystkim wielkopański rozróż z rzeczywistością. Już ponad 30 lat temu John Gunnel zauważył, że teoria polityczna uległa alienacji (w książce pod takim samym tytułem³). Dlatego też sądzę, że realistyczna, ale niepozbawiona aspektu normatywnego teoria polityczna nie powinna zaczynać od pojęć nabrzmiałych znaczeniowo i jednoznacznych aksjologicznie; nie sposób powiązać ze sobą wywodów nawiedzonych filozofów i cynicznych politologów. Próba spójnego ujęcia ideałów i „kasy”, jak napisałem w książce, to zadanie na miarę pojednania Platona ze zniechęconymi przez niego sofistami. Dlatego też tego typu teoria powinna wyjść od pojęcia niejako z drugiej linii i, wykorzystując jego niejednoznaczność aksjologiczną, powiązać ze sobą ideały i instytucje. Stąd właśnie pierwszeństwo reprezentacji, które oburzyło szanownego Recenzenta.

W zakończeniu książki przedstawiam przyczynę do takiej teorii. Markuję w nim pięć zagadnień, odpowiadających pięciu paradoksom przedstawionym w kolejnych rozdziałach, którymi zająć się powinna teoria odpowiedzialnej władzy.

Pierwsze i najważniejsze z nich to poszukiwanie sposobów zwiększenia tej odpowiedzialności, czyli zapobieganie alienacji zarówno rządzących, jak i rządzonych. Nie sposób nie zgodzić się z krytykami reprezentacji; to za jej sprawą dochodzi do odwrócenia porządku zależności: mocodawcy stają się zależni od swoich reprezentantów. Rządzący Lud wchodzi w rolę tych, którymi się rządzi. Retoryka demokratyczna jedynie ukrywa ten fakt, retoryka demokratyzacji demokracji demaskuje go i szuka na niego środków zaradczych w innych instytucjach. Teoria odpowiedzialnej władzy przyjmuje go do wiadomości i traktuje jako problem, którego nie można definitywnie rozwiązać, można jednak ograniczyć jego negatywne

³ J.G. Gunnel, *Between Philosophy and Politics. The Alienation of Political Theory*, University of Massachusetts Press, Amherst 1986.

skutki, poddając władzę systematycznej kontroli. Legitymizacja władzy reprezentacyjnej zależy właśnie od tego, czy potrafi ona przekonać audytorium, że wywiązuje się ze swoich funkcji, bez względu na to, kto jest jej mocodawcą.

Ale też władza – to drugie zagadnienie – nie może zostać wspomnianą kontrolą sparaliżowana. Nierzadko musi działać przecież wbrew różnym interesom rządzonych (czy w przeciwnym razie byłaby zdolna do reform?), w szczególnych wypadkach nawet zawieszać ich prawa obywatelskie. Teoria władzy odpowiedzialnej powinna zatem podjąć problem suwerenności w inny sposób niż teoria demokracji, która po prostu przyznaje atrybut suwerena ludowi, a działanie rządu wbrew jego woli traktuje jako patologię demokracji. Realistyczna teoria polityki musi znaleźć uzasadnienie dla tych działań rządu, które – choć wykraczają poza mandat reprezentanta – są niezbędne dla utrzymania systemu politycznego, w istocie także innego niż demokracja.

W naturze władzy – każdej władzy – leży jednak skłonność, by robić to częściej niż to jest konieczne. Dlatego też teorię władzy odpowiedzialnej należy jednocześnie obarczyć zadaniem znalezienia sposobów, które by temu przeciwdziałały. Rzecz jest o tyle trudna, że instytucje władzy podzielonej i zrównoważonej do tego nie wystarczają, jeśli w samym społeczeństwie nie istnieje rzeczywista siła opozycyjna, zdolna do przejęcia władzy w kolejnych wyborach. Rzeczona teoria nie może zrobić tu właściwie niczego innego niż idąc za przykładem Jamesa Madisonsa powtórzyć analizę zjawiska frakcji w sytuacji płynnych podziałów społecznych.

Wymagać też od tej teorii należy, aby swoją logiką wywołała zmusiła władzę do działania na rzecz dobra wspólnego. Dobro wspólne zróżnicowanego społeczeństwa jest tyleż postulatem praktycznego rozumu, co rezultatem stosowania określonych procedur. Obecnie większość wpływowych teoretyków demokracji optuje za jakąś formą deliberacji, ale zwolennicy konkurencyjnej agregacji mają również mocne argumenty. Teoria władzy odpowiedzialnej nie powinna podchodzić do tej kwestii dogmatycznie; w istocie reprezentanci są tyleż wyrazicielami interesów swoich elektoratów, co ich mniej lub bardziej elokwentnymi adwokatami. Rzeczywistym problemem jest natomiast zakres swobody, jaki pozostawić im należy wobec swoich wyborców, by mogli zadbać o interes całości.

Podobnie jest z oddaniem zróżnicowania społecznego, to znaczy z rolą, jaką w systemie politycznym odgrywać winno społeczeństwo obywatelskie. Ma ono swoją białą i czarną legendę, obecnie mniej popularną. O pozytykach z jego istnienia nie trzeba dziś nikogo przekonywać, ale trzeba też zauważyć, że oprócz fundacji charytatywnych i stowarzyszeń na rzecz niepełnosprawnych należą do niego także korporacje, grupy nacisku i lobbyści,

wykorzystujący nieformalne kanały reprezentacji do promowania interesu grup nielicznych, aczkolwiek zasobnych. Teorie demokratyzacji demokracji podchodzą do społeczeństwa obywatelskiego raczej niechętnie, narusza ono bowiem zasadę równości, ale czy stanowi jedynej dostępnej drogi reprezentacji dla grup nieobecnych w formalnych instytucjach?

Zasygnalizowałem tu wątki przedstawione nieco szerzej w zakończeniu książki, ponieważ czytelnik recenzji Pawła Marczewskiego mógłby odnieść wrażenie, że moim celem było jedynie zdemaskowanie fałszywej „obietnicy polityki”, jaką daje demokracja, a zwłaszcza „mocna demokracja”, w którą zdaje się wierzyć Recenzent. Książka jest nie tyle krytyką tych złudzeń (choć w istocie napisałem kilka artykułów na ten temat), co korektą owej obietnicy, która – gdyby takie książki cokolwiek mogły! – zapobiec ma frustracjom, jakie powodować muszą obietnice bez pokrycia.

Ciekawe, że Marczewski, oburzony przedłożeniem reprezentacji nad demokrację, nawet nie wspomina o morale, jaki wyprowadzam ze swoich rozważań. Inni recenzenci traktują mój zamiar z większą życzliwością, choć jednocześnie mają mi za złe, że nie rozwinąłem tych myśli. W istocie tego nie zrobiłem, ponieważ jestem przekonany, że choć klasycy mogą zainspirować teorię dotyczącą współczesnej polityki, to jej rozwinięcie nie jest już zadaniem historyka idei. Odpowiedzialna teoria polityczna musi bowiem rozpatrywać idee w aspekcie instytucji – zarówno tych, które istnieją, jak i tych, które trzeba będzie stworzyć, aby owe idee mogły kiedyś oddziaływać na politykę.